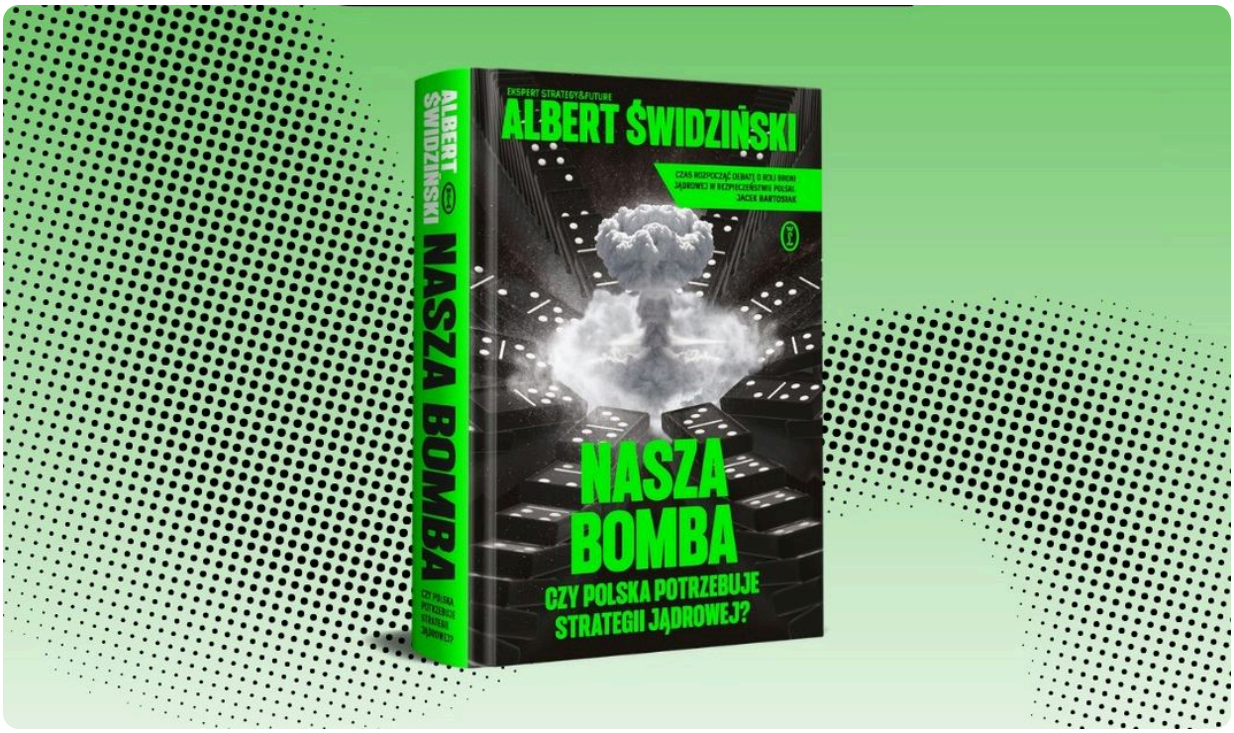
Albert Świdziński. Izrael i bomba. Nie będziemy pierwsi, ale... nie będziemy też drudzy!

Strategy&Future

15.09.2026



Albert Świdziński.

Izrael i bomba. Nie będziemy pierwsi, ale... nie będziemy też drudzy!

Trudno wyobrazić sobie kraj, który potrzebowałby broni jądrowej bardziej niż Izrael. Sytuacja bezpieczeństwa tego państwa od początku jego powstania – otoczonego z każdej strony nieprzychylnymi sobie sąsiadami i toczącego z nimi wojny, (a w związku z tym) nie będącego częścią żadnego sojuszu militarnego – sprawiała, że pozyskanie broni jądrowej było dla Tel-Awiwu

koniecznością. Świadome niemożności znalezienia formalnego dawcy bezpieczeństwa elity polityczne Izraela z premierem Dawidem Ben Gurionem na czele od połowy lat 50. XX wieku wykazywały się jednomyślnością co do idei zdobycia własnej broni jądrowej. Jednocześnie dość szybko Izrael przekonał się o braku entuzjazmu Stanów Zjednoczonych dla aktywnego wspierania proliferacji. Stało się to jasne po tym, jak podczas konferencji dotyczącej programu Atom dla Pokoju w Genewie – poświęconej „wszystkim znaczącym aspektom pokojowych zastosowań energii atomowej" – Izraelczycy podjęli próbę otrzymania od Stanów Zjednoczonych reaktora umożliwiającego pozyskiwanie niewielkich ilości plutonu, który następnie mógłby być reprocesowany w celu otrzymania materiału rozszczepialnego. Delegat Izraela na konferencję w Genewie Ernst David Bergmann doskonale zdawał sobie sprawę, że otrzymanie od Stanów Zjednoczonych technologii reaktorów dla energetyki jądrowej mogłoby umożliwić Izraelowi pozyskanie niezbędnej wiedzy oraz – docelowo – samodzielne zbudowanie większych i wydajniejszych reaktorów. Dla Bergmanna było jasne, że wiedzę tę dałoby się wykorzystać przy produkcji broni jądrowej; wyraził on to przekonanie otwarcie w przygotowanym tajnym raporcie. Jednocześnie przebieg rozmów z Amerykanami uzmysłowił mu, że nie zgodzą się oni na przekazanie Izraelowi jakichkolwiek technologii, które mogłyby zostać wykorzystane w celu produkcji broni jądrowej .

Ścieżka amerykańska była w tym momencie zamknięta. Natomiast – jako że żadnemu kryzysowi nie można pozwolić się zmarnować – nowe możliwości otworzyły się przed Izraelem w związku z kryzysem sueskim. Najpierw towarzyszem broni, a następnie towarzyszem niedoli Izraela stała się Francja. Narang jest zdania, że jedną z przyczyn, dla których Izrael zdecydował się na dołączenie do brytyjsko-francuskiej operacji przeciwko Nasserowi, była jego nadzieja, iż pogłębi to już istniejącą współpracę militarną Izraela z Francją na tyle, że możliwe stanie się pozyskanie od Francji reaktora jądrowego. Francuzi nie mieli oporów i już we wrześniu 1956 roku – przed rozpoczęciem działań wojennych wokół Kanału Sueskiego – Izrael i Francja podpisały umowę, której przedmiotem była sprzedaż

Tel-Awiwowi reaktora badawczego. Zdaniem Avnera Cohena, „nie ma wielu wątpliwości, że Francuzi zdawali sobie sprawę", o co tak naprawdę chodziło Izraelczykom – a nie chodziło im bynajmniej o wykorzystanie atomu dla pokoju . Dodajmy, że z jakiegoś powodu Francuzi byli (pytanie, czy są dalej) chyba najbardziej beztroskim państwem, jeżeli chodzi o proliferację. Ślad francuski przewija się w historiach nie tylko izraelskiego, ale też pakistańskiego, irakijskiego, tajwańskiego czy południowokoreańskiego programu broni jądrowej. Ostatecznie francuskie zaangażowanie miało przyjąć formę zbudowania reaktora podobnego do tego, który powstał w Marcoule i służył pozyskiwaniu plutonu na potrzeby francuskiego programu broni jądrowej. Francuzi zobowiązali się dostarczyć również paliwo jądrowe oraz – co nie zostawia większych wątpliwości co do intencji Tel-Awiwu – podziemne instalacje służące do reprocesowania plutonu ze zużytego paliwa jądrowego. Na miejsce powstania reaktora wybrano leżące na pustyni Negew osiedle Dimona. Samej konstrukcji dorobiono odpowiednią „legendę": według oficjalnej narracji w Dimonie powstawać miała… fabryka tekstyliów. Dowody poszlakowe są zresztą mało istotne. Francja i Izrael zawarły bowiem tajne porozumienie, na mocy którego Paryż zobowiązał się do wspierania Izraela w zakresie badań naukowych nad bronią jądrową i jej produkcją. Narang zwraca uwagę, że w okresie pomiędzy 1956 a 1958 rokiem Izrael realizował swój program nuklearny nie tylko pod kryszą Francji, ale wręcz przy jej aktywnym współudziale. Nie trwało to jednak długo. Charles de Gaulle, po dojściu do władzy, nakazał niezwłocznie zakończyć francuskie wsparcie, przy czym ostatecznie zgodził się na wypełnienie podpisanych już kontraktów pomiędzy Izraelem a francuskim koncernem Saint Gobain, dzięki czemu możliwe było ukończenie budowy reaktora w Dimonie oraz towarzyszącej mu infrastruktury do reprocesowania plutonu.

Amerykanie bardzo szybko uświadomili sobie, w jakim celu Izrael rozwija swoją energetykę nuklearną. Już w 1960 roku wywiad USA konkludował, że „wszystkie dostępne informacje wskazują (…), że co najmniej jednym z głównych celów kompleksu na pustyni Negew jest produkcja plutonu na potrzeby broni jądrowej" . Co ciekawe – i

ważne dla zrozumienia dalszych losów izraelskiego programu nuklearnego – Avner Cohen uważa, że wykrycie przez USA izraelskiego programu jądrowego dopiero cztery lata po jego rozpoczęciu stanowiło porażkę wywiadowczą Stanów Zjednoczonych. Porażka ta miała miejsce, gdyż „pomimo tego, że ważne informacje" na temat instalacji w Dimonie zostały przez wywiad USA pozyskane, to „nie znalazły się właściwie w obiegu" aparatu bezpieczeństwa . Co najciekawsze oraz najistotniejsze, Cohen spekuluje, że za taki stan rzeczy odpowiadali „przyjaciele Izraela zajmujący wysokie stanowiska w amerykańskiej wspólnocie wywiadowczej (...); administracja Eisenhowera wiedziała o Dimonie być może już w 1958 lub 1959 roku, ale nic z tą wiedzą nie zrobiła", tworząc precedens dla traktowania izraelskiej broni jądrowej w sposób szczególny" . Bliskie związki między niektórymi agendami rządu Stanów Zjednoczonych a państwem Izrael odegrają jeszcze nieraz zasadniczą rolę w historii prowadzonego przez Izrael programu nuklearnego.

Niezwykle charakterystyczną cechą amerykańsko-izraelskiego dialogu na temat programu nuklearnego Izraela była „gimnastyka semantyczna" uprawiana przez izraelskich przywódców. Ben Gurion zapewniał publicznie, że budowany przez Francuzów reaktor „jest tworzony wyłącznie w celach pokojowych", prywatnie zaś zapewniał Amerykanów, że „Izrael nie planuje stworzenia broni jądrowej" . Zauważmy, że po pierwsze „nie planuje" nie jest tym samym, co „nie stworzy", a po drugie na tak wczesnym etapie programu perspektywa stworzenia broni jądrowej była i tak bardzo odległa. Te działania dały administracji Eisenhowera – przed którą stał szereg innych, bardziej palących wyzwań – grunt pod „niedostrzeganie" faktycznych zamiarów Tel-Awiwu oraz utemperowanie CIA, która „reagowała nadmiarowo". To z kolei miało umożliwić wyciszenie problemu i uniknięcie debaty publicznej, która mogłaby skutkować koniecznością ograniczenia amerykańskiej pomocy dla Izraela .

Ameryka była fundamentalnie przeciwna proliferacji broni jądrowej, dlatego że „proliferacja rodzi proliferację", istniało więc niebezpieczeństwo, że zamiast z jednym państwem proliferatorem USA będą musiały sobie radzić z na przykład trzema, co w nawet

najspokojniejszym regionie nie byłoby sytuacją komfortową – a co dopiero na Bliskim Wschodzie. Amerykanie zdawali sobie sprawę, że fakt posiadania broni jądrowej ogranicza ich sprawczość – nawet względem państw, z którymi nie znajdują się w formalnych sojuszach. Jednocześnie Izrael był w stanie prowadzić swój program i komunikować się z Waszyngtonem w taki sposób, by w połączeniu ze „specjalnym statusem", jakim państwo to cieszy się w relacjach z USA, móc doprowadzić do sytuacji, w której kolejne amerykańskie administracje prezydenckie uznawały, że korzyści z ignorowania ambicji Izraela przewyższają koszty.

Najmniej skłonni do akceptowania tej fikcji byli urzędnicy administracji Kennedy'ego; jednak nawet podczas tej krótkiej kadencji kontynuowano zapoczątkowaną za poprzednika JFK tradycję odgrywania scen niczym z teatru kabuki. Kennedy zażądał przeprowadzenia inspekcji w Dimonie, ale ich przebieg został wyreżyserowany w taki sposób, aby przypadkiem nie ujawniły one zbyt wiele. Przykładowo: „Izrael nie wspomniał o podziemnych instalacjach do reprocesowania plutonu, a amerykańscy inspektorzy nie pytali o nie" . Cohen stwierdza, że „uderzające jest, jak bezkrytycznie amerykańscy eksperci przyjmowali wszystko, co mówili im Żydzi" .

Nie ulega wątpliwości, że obie strony doskonale rozumiały, jak ważny jest odpowiedni przekaz. Podczas spotkania Ben Guriona z Kennedym premier Izraela miał zapewnić swojego rozmówcę, że „naszym głównym celem – na razie – jest odsalanie. Obecnie nie mamy zamiaru rozwijać zdolności do produkcji broni jądrowej" . Oczywiście gdyby Kennedy naprawdę chciał dostrzec intencje Izraela, taka wypowiedź, w połączeniu z raportami dostarczanymi przez CIA, w pełni uzasadniałaby bardzo ostrą reakcję mającą na celu powstrzymanie zamiarów Tel-Awiwu, było bowiem jasne, że Izrael prowadzi aktywny program broni jądrowej. Kennedy, człowiek zapobiegliwy, rozpoczął zresztą rozmowę z Ben Gurionem, stwierdzając, że „kobieta nie tylko musi być cnotliwa, ale musi również sprawiać takie wrażenie" – Ben Gurion nie kwestionował zasadności tego spostrzeżenia . Sam Kennedy wiedział zaś, że gdy

„kobieta sprawia wrażenie cnotliwej", lepiej nie grzebać w jej życiorysie zbyt głęboko, by uniknąć niezręczności. Nie zadawał więc premierowi Izraela dodatkowych trudnych pytań na temat Dimony. Izrael i Ameryka do perfekcji opanowały piruet pod nazwą „nie odpowiadaj, nie pytaj" .

Z punktu widzenia teorii Naranga działania Izraela nie przypominały strategii hedgingu ubezpieczeniowego. Po pierwsze – Izrael nie był biorcą amerykańskiego bezpieczeństwa, ani traktatowym sojusznikiem USA. Po drugie – celem izraelskiego programu nie było wymuszenie na USA dodatkowych koncesji (sprzedaży sprzętu wojskowego, formalnych lub nieformalnych gwarancji bezpieczeństwa), w zamian za które Izrael mógłby porzucić swoje ambicje. Izrael celowo ukrywał fakt istnienia swojego programu, starając się utrzymać status quo w relacjach z Amerykanami, wiedząc, że ujawnienie może przekreślić modus operandi łączące Tel-Awiw i Waszyngton. Jednocześnie możliwe było to wyłącznie pod warunkiem, że Stany Zjednoczone świadomie będą udawać, że są nieświadome faktycznego przeznaczenia reaktora w Dimonie. Dlaczego kolejne amerykańskie administracje (Eisenhowera, Kennedy'ego, Johnsona i Nixona) konsekwentnie realizowały politykę celowej ignorancji jest z perspektywy naszych rozważań mniej istotne. Z pewnością Izrael był niezwykle przydatnym przyczółkiem amerykańskich interesów w jednym z trzech kluczowych regionów na świecie. Z pewnością jednak zasadniczą rolę odegrały również wpływy zarówno istniejących w amerykańskim społeczeństwie sentymentów wobec Izraela, jak i żydowskiego lobby w Stanach Zjednoczonych. Przyznaje to zresztą otwarcie sam Cohen.

Przykładów semantycznego baletu uprawianego przez izraelskich przywódców było więcej. W 1963 roku ówczesny wiceminister obrony Izraela Szimon Peres, zapytany wprost o to, czy Izrael prowadzi program broni jądrowej, odpowiedział wymijająco, że „Izrael nie będzie państwem, które wprowadzi broń jądrową na Bliski Wschód, a już na pewno nie będzie pierwszym", które to uczyni . Oczywiście Peres nie mógł udzielić odpowiedzi jednoznacznej, bo musiałby albo potwierdzić fakt istnienia izraelskiego programu jądrowego, co

groziło tym, że Amerykanie mogliby nie mieć innego wyboru, jak tylko obłożyć Izrael sankcjami, albo skłamać, lub też zadeklarować rezygnację z ambicji nuklearnych – co nie obsługiwało interesów Izraela. Mówiąc o „wprowadzeniu" broni jądrowej Peres w gruncie rzeczy oznajmił, że Izrael nie ujawni (czytaj: nie ogłosi publicznie) istnienia swojego arsenału jądrowego jako pierwszy. Jest całkiem prawdopodobne, że Amerykanie postanowili zinterpretować jego słowa inaczej – jako zapewnienie, że Izrael nie skonstruuje własnej bomby. Z czasem fraza ta stała się elementem oficjalnego języka opisującego relacje pomiędzy Waszyngtonem i Tel-Awiwem. Podpisane w 1965 roku (czyli już za prezydentury Johnsona) memorandum stwierdza, że „Stany Zjednoczone pozostają zainteresowane bezpieczeństwem Izraela", Tel-Awiw deklaruje natomiast, że „nie będzie pierwszym państwem, które wprowadzi broń jądrową na Bliski Wschód" . Dopóki jakiś nadgorliwy amerykański inspektor lub analityk nie postanowiłby zbyt poważnie podejść do swoich obowiązków, taki stan mógłby się utrzymywać przez czas nieokreślony. Ameryka „świadomie chroniła izraelski program jądrowy przed światem arabskim i jego sowieckim patronem" .

Pomimo niezaprzeczalnego wpływu na amerykańską politykę wewnętrzną, przyznać trzeba, że Izrael miał również szczęście, któremu pomagał niezwykle zręcznym manewrowaniem na scenie międzynarodowej . Nawet w latach 60. XX wieku, gdy Amerykanie pracowali nad stworzeniem normy nieproliferacji, ich wysiłki skupiały się na powstrzymaniu jej w gronie formalnych sojuszników USA w ramach NATO. Powstrzymanie Tel-Awiwu od proliferacji byłoby nie tylko trudne w sensie technicznym, ale też kosztowne w wymiarze polityki wewnętrznej (z uwagi na izraelskie lobby) oraz międzynarodowej – z uwagi na rolę odgrywaną przez Izrael na Bliskim Wschodzie. Izrael uniknął również podpisywania umów międzynarodowych mających na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania broni jądrowej, na czele z NPT.

Ukonstytuowanie się podczas prezydentury Johnsona swoistego quid pro quo (USA wspiera militarnie Izrael, w zamian za co ten nie

wprowadza broni jądrowej na Bliski Wschód) sprawiło, że zmieniła się natura relacji USA i Izraela. Transfer broni konwencjonalnej przestał być kijem, a stał się marchewką. USA nie groziły już wstrzymaniem przekazywania Izraelczykom broni, jeżeli ci ujawnią swój program nuklearny; zamiast tego utrzymanie dostaw broni miało zapewnić Tel-Awiwowi bezpieczeństwo, co z kolei pozwalało mu na dalsze „nieobnażanie" swojej broni jądrowej.

Cała ta wyrafinowana choreografia (ktoś mniej subtelny mógłby stwierdzić, że Izraelczycy i Amerykanie wynieśli „rżnięcie głupa" do rangi sztuki) pozwoliła Izraelowi osiągnąć linię mety. Reaktor w Dimonie rozpoczął funkcjonowanie na przełomie 1963 i 1964 roku, dwa lata później istniała już cała infrastruktura obsługująca program broni jądrowej, zapewniająca zdolność do produkcji odpowiednio wzbogaconego materiału rozszczepialnego (poprzez reprocesowanie plutonu ze zużytego paliwa do reaktora). Opracowana została też sama „paczka fizyczna" – a więc model głowicy nuklearnej oraz środki jej przenoszenia. Panuje przekonanie, że w momencie wybuchu wojny sześciodniowej w 1967 roku Izrael dysponował odpowiednią ilością wzbogaconego plutonu, aby wyprodukować dwie lub trzy głowice nuklearne . Wtedy miało bowiem dojść do próbnego – i częściowego – złożenia w całość izraelskich głowic. Co godne odnotowania, wydaje się, że była to inicjatywa oddolna izraelskich naukowców, przeprowadzona bez zgody izraelskiego establishmentu politycznego – podobnie jak to było w przypadku pierwszego mechanizmu stworzonego przez Indusów, dwóch izraelskich bomb trudno byłoby użyć do celów innych niż detonacja mająca zademonstrować determinację.

Pierwsze izraelskie ładunki nuklearne mogły dostarczyć nad cel albo amerykańskie samoloty A-4 Skyhawk, albo rakiety balistyczne Jerycho. Zauważmy, że o ile rakiety Izrael miał własnej produkcji, to już samoloty dostarczali Amerykanie. Jako że nie mogli oni wyjść ze swojej roli, uwarunkowali sprzedaż złożeniem przez Izrael zapewnienia, że maszyny te „nie zostaną wykorzystane do przenoszenia broni jądrowej" . Było to, swoją drogą, pewnym niedopatrzeniem, bowiem stanowiło przyznanie, iż Amerykanie

posądzają Izrael o posiadanie bądź zamiar posiadania broni jądrowej. W rzeczywistości Amerykanie dowiedzieli się o zakończeniu przez Izrael prac nad skonstruowaniem pierwszych ładunków już w 1968 roku. Zdaniem Naranga upewnić ich miała wymiana zdań pomiędzy ówczesnym sekretarzem stanu, Deanem Ruskiem, a jego izraelskim odpowiednikiem, Abbą Ebanem, który miał zgodnie z wypracowanym już wcześniej protokołem zapewnić Ruska, że Izrael „jako pierwszy nie wprowadzi na Bliski Wschód broni jądrowej", dodając jednak zaraz potem, że „jako drugi też nie!" .

Fakt, że Izrael opracował broń jądrową, wymagał jakiegoś domknięcia przez Stany Zjednoczone. Spadło to na barki administracji Richarda Nixona, który objął urząd na początku 1969 roku. Co typowe dla tej kadencji, przekonania i cele prezydenta oraz jego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Henry'ego Kissingera dość znacząco rozmijały się z przekonaniami znacznej części aparatu biurokratycznego. Było to najwyraźniej widoczne na przykładzie „manewru Nixona", czyli serii działań zmierzających do naprawienia relacji USA z Chinami (co zresztą Kissinger opisał skwapliwie w książce O Chinach), ale różnice te pojawiły się już wcześniej, właśnie w związku z izraelskim programem broni jądrowej. Część urzędników administracji, przede wszystkim z departamentów stanu i obrony, obawiała się nie tylko samego faktu proliferacji broni jądrowej, ale również tego, że – jak ujął to zastępca sekretarza obrony USA David Packard – „jeżeli Stany nie będą naciskać na Izrael w sprawie programu nuklearnego, oznaczać to będzie współuczestnictwo w spisku wraz z Izraelem" .

Kissinger szybko zauważył problem z dokładną interpretacją izraelskiej deklaracji o „niewprowadzaniu" broni jądrowej na Bliski Wschód. Amerykanie uznali, że oznacza ona nieposiadanie broni jądrowej; Izraelczycy mieli na myśli raczej to, „że mogą posiadać broń jądrową, ale nie będą jej testować, wprowadzać do służby", ani chwalić się tym publicznie . Jednocześnie Kissinger oceniał, że chociaż „sekretne posiadanie broni jądrowej przez Izrael zwiększyłoby niebezpieczeństwo na Bliskim Wschodzie", to „wiedza publiczna na ten temat jest niemal równie niebezpieczna, co sam

fakt posiadania” . Zdaniem autora Dyplomacji było tak dlatego, że mogłoby to „spowodować udzielenie przez Sowietów gwarancji nuklearnych Arabom, umożliwić im większą kontrolę nad Arabami oraz zwiększyć ryzyko naszego zaangażowania” . Kissinger – jak to on – zdobył się przy tym na rzuconą od niechcenia uwagę, że w związku z tym „być może sami Sowieci będą mieli powód, żeby nie wiedzieć” . Jaki płynął z tego wniosek? „Chociaż w idealnym scenariuszu chcielibyśmy powstrzymać Izrael od posiadania broni jądrowej, tak naprawdę chcemy co najmniej tego, aby fakt jej posiadania nie stał się wiedzą powszechną” – to dalej Kissinger . Dlatego z perspektywy Stanów Zjednoczonych konieczne było co najmniej wymuszenie na Izraelu podpisania Traktatu o nierozprzestrzenianiu – nie dlatego, że zrobiłoby to jakąkolwiek różnicę, jeżeli chodzi o izraelski program jądrowy, bo ten i tak mógł być rozwijany przez Tel-Awiw samodzielnie, ale dlatego, że będzie to mogło stanowić „publiczne uzasadnienie dla dalszych nacisków na Izrael” oraz „publicznie udzieloną przez Izrael deklarację, że nie zamierza on dążyć do broni jądrowej” . Kissinger oraz przedstawiciele departamentów obrony, stanu oraz kolegium połączonych szefów sztabu rekomendowali również, aby Stany Zjednoczone zażądały od Izraela na piśmie deklaracji, że państwo to nie będzie pierwszym, które wprowadzi broń jądrową na Bliski Wschód, i że oznacza to, że nie będzie jej posiadać (natomiast za teoretycznie akceptowalny uznano stan, w którym USA tolerują, że Izrael posiada broń jądrową niezłożoną w całość).

Wspomniana wyżej analiza przygotowana przez Kissingera została w pewnym stopniu odtajniona – chociaż jest również opatrzona pieczątką „wyczyszczone”, a jej część pozostaje niejawna (i pozostanie co najmniej do momentu, gdy Izrael porzuci pozycję strategicznej niejasności odnośnie do tego, czy posiada broń jądrową, czy nie). Do dzisiaj nieujawniony pozostaje natomiast stenogram datowanej na 26 września 1969 roku rozmowy pomiędzy premier Izraela Goldą Meir a Nixonem. Można się jedynie domyślać, jakie tematy zostały podczas niej poruszone – i to właśnie czyni cytowany już wcześniej Avner Cohen. Jego zdaniem, „Meir niemal na pewno zwierzyła się Nixonowi, że Izrael jest już w posiadaniu ładunku

nuklearnego – albo złożonego, albo znajdującego się w kilku częściach. Nixon otrzymał zdecydowaną deklarację, że Izrael nie odstąpi od zobowiązania niewprowadzania broni jądrowej na Bliski Wschód (...), [ale broń ta] pozostanie niewidoczna, czyli Izrael nie przetestuje jej oraz nie ogłosi publicznie, że ją posiada" . W zamian za to Izrael otrzymał nie tylko gwarancje dalszego wsparcia militarnego, ale też zakończenie reżimu amerykańskich inspekcji w reaktorze w Dimonie. Co ciekawe, wbrew rekomendacjom Kissingera, Nixon zaprzestał również nacisków na Tel-Awiw w sprawie dołączenia do NPT. Zdaniem Naranga tradycją stało się, że nowi przywódcy Izraela i USA ponawiają powzięte przez Nixona i Meir zobowiązania . Trudno przecenić szczególnie fakt „odpuszczenia" przez USA kwestii NPT. Stany Zjednoczone były przecież jednym z czempionów nieproliferacji i zainwestowały ogromny kapitał polityczny w stworzenie reżimu prawnego mającego obsłużyć tę doktrynę. Przypomnijmy, że gdy RFN starała się uniknąć dołączenia do NPT, Waszyngton zagroził Bonn porzuceniem na pastwę Sowietów.

Podsumujmy: cały program broni jądrowej Izraela przebiegał pod kryszą, najpierw dostarczoną przez Francję (Francuzi byli w pełni świadomi intencji Tel-Awiwu i przeznaczenia reaktora w Dimonie), a następnie przez Stany Zjednoczone, które po prostu starannie, jak ujął to Kissinger, udawały ignorancję. Z uwagi na trudną sytuację bezpieczeństwa – na co najlepszym dowodem liczba wojen, w które Izrael był zaangażowany – niemożliwością było uzyskanie przez to państwo formalnych gwarancji bezpieczeństwa (co swoją drogą powinno być wzięte pod rozwagę przez tych, którzy uważają, że realne jest dołączenie przez Ukrainę do NATO). To, wraz z egzystencjalnym poczuciem zagrożenia, niemalże wymusiło na Izraelu dążenie do nuklearyzacji. Izraelskie elity niezwykle celnie oceniły sytuację. Izrael musiał utrzymać co najmniej poprawne relacje ze Stanami Zjednoczonymi, a to oznaczało, że próba oszukania Waszyngtonu co do własnych intencji była pomysłem niezwykle ryzykownym. Waszyngton niemal na pewno byłby w stanie wykryć prowadzony przez Izrael program nuklearny. W takiej sytuacji powstawałby szereg niezwykle poważnych zagrożeń dla bezpieczeństwa Izraela. USA

mogłyby na przykład uznać za stosowne zaprzestać wspierania Izraela. Oczywiście nie byłoby w decyzji tej automatyzmu: być może Biały Dom i Kongres przeforsowałyby utrzymanie relacji z Tel-Awiwem w niezmienionej formule – natomiast absolutnie nie było to pewne. Co więcej, USA mogłyby ujawnić wrażliwe informacje na forum publicznym, co tworzyłoby ryzyko, że arabscy sąsiedzi Izraela podjęliby próbę prewencyjnego unieszkodliwienia izraelskiego programu. To z kolei mogłoby zmusić ZSRR do udzielenia Arabom formalnych gwarancji bezpieczeństwa, być może w formie rozszerzonego odstraszania nuklearnego.

Jednocześnie dylemat ten tworzył potrzebę zaproszenia Amerykanów do uczestnictwa w teatrze kabuki. Izrael nie mógł otwarcie skłamać co do swoich zamiarów, ale jednocześnie nie mógł ich Stanom Zjednoczonym oficjalnie ujawnić. To właśnie wypracowanie warunków – dzięki obiektywnej przydatności Izraela dla USA jako „niezatapialnego lotniskowca" (jak nazwał Izrael Alexander Haig, sekretarz stanu USA w administracji Reagana) w jednym z trzech kluczowych regionów na świecie oraz kultywowaniu wpływów w amerykańskim aparacie biurokratycznym i społeczeństwie – otworzyło przed Izraelem drzwi do nuklearyzacji pod czułym, choć niewidzącym, spojrzeniem Stanów Zjednoczonych. Swoją drogą, również współpraca Izraela i Francji, na tle obietnicy uczestnictwa w interwencji w Egipcie w 1956 roku, była przykładem tego, jak Izrael czynił się pożytecznym dla potencjalnego dostawcy kryszy. Zauważmy też, że Izrael pozostał dla swojego nieformalnego patrona wiarygodny; kolejne administracje trzymały się wyznaczonej linii – i czynią to do dzisiaj.